



# WIECZORY RODZINNE



## Nie brońcie dzieciętom przystępu do mnie.

Onego czasu Jezus krążył po tej ziemi  
Gdzie Jordan się rozlewa wody przeczystemi,  
A za śladem stóp świętych nadciąga moc ludu,  
Kto żyw, jękiem żalosnym domaga się cudu.  
Kaleka, krwią nabiegłe ukazuje rany,  
Grzesznik woła o litość, dla duszy starganej,  
A Jezus miłosiernie staje wśród rzeszy,  
Cudem słowa uzdrowia, naucza i cieszy.  
Rozradowane tłumy odbiegły daleko,  
Zbawiciel na kamieniu spoczął ponad rzeką,  
Patrzy w niebo, do Ojca modli się gorąco.  
Wtem głosy, wiernych uczniów ucho Mu potrąca:  
— Idźcie stąd, On dzień cały mozolił się tyle,  
Zostawcież go w pokoju, niech odpocznie chwilę!  
Spojrzy Jezus i oczy nagle Mu zapłoną,  
Widzi drobnych dzieciętek nadchodzące grono

Istne stado gołąbków z pióry bieluchnemi,  
Zdała słyszy głos matek: „Zmiłuj się nad nimi!”  
Zgromił gorliwych uczniów: „Nie brońcie daremno  
Przystępu tym dzieciętom, niech pogwarzą ze mną.  
Bo dla takich zaprawdę jest królestwo Boże;  
Maluczki tylko w pełni osiągnąć je może!  
I gromadka dzieciętek Jezusa otoczy  
A Zbawiciel z miłością zwrócił ku nim oczy.  
Po jednym bierze z ziemi, piastuje na łonie,  
Błogosławiące nad niem rozpościera dłonie.  
A gdy wszystkie utulił, do matek się zwraca:  
Wam powierzam te płonki... święta wasza praca,  
Kto do niej pilnie serce i wolę przyłoży,  
Ten sposobi na przyszłość obfity plon Boży.  
Zapłakały niewiasty — a Jezus w milczeniu  
Poszedł dale; i zniknął w oliwnych drzew cier



1002114098

# Patrz!

St. Kramszytk.

Zamknij swe książki i złoż kajety.

Nie odwodzę cię bynajmniej od książki, nie należysz przecie do tych, których do niej zapędzać potrzeba. Czytałeś dziś wszakże dosyć; powtarzasz może jeszcze w pamięci ten lub ów ustęp zadanej lekcji, albo też snują ci się po głowie obrazy przeczytanej baśni, ale zaczynasz się już może nudzić, a brak zajęcia wyrzekasz.

Otóż tym, co się nudzą, którym zajęcia nie dostaje, mówię po prostu: patrz, naucz się patrzeć.

Uśmiechasz się; nie pojmujesz, czego od ciebie żądam. Zrozumiesz to, gdy ci opowiem o ludziach, co patrzeć umieli.

W Syrakuzach, które za czasów starożytnych były osadą grecką, rządził władca czyli tyran Hieron. W temże mieście istniała świątynia z posągami Jowisza, najpotężniejszego z bogów greckich. Hieron postanowił słynny w owych czasach ten posąg ozdobić nową koroną i na ten cel dał złotnikowi dwadzieścia funtów złota. Artysta z zadania należycie się wywiązał; korona była okazała i ważyła rzeczywiście dwadzieścia funtów. Wkrótce wszakże wybuchła w Syrakuzach zaraza, a między ludem rozbiegła się pogłoska, że to jest zemsta obrażonego Jowisza, nieuczciwy bowiem złotnik część drogiego metalu ukrył, a natomiast dał taką samą ilość srebra. W owym czasie żył w Syrakuzach słynny z nauki, wielki matematyk Archimedes, a tyran, chcąc rozstrzygnąć, czy uzasadnioną jest pogłoska o utajeniu części złota, jemu właśnie zadanie to poruczył, pod warunkiem wszakże, by korony nie rozłamał, ani w nich nie uszkodził.

Archimedes nie wiedział, jak z trudnym tem zadaniem sobie poradzić, nauka ówczesna nie wskazywała żadnej drogi do jego rozwiązania. Gdy tak myślał nad tem ustawicznie, zauważył raz, wchodząc do wanny, że ciało jego jest jakby unoszone przez wodę i staje się lżejszem. Przekonał się, że toż samo dzieje się z każdym przedmiotem do wody wprowadzonym, a potem już bardzo szybko poznał, że każde ciało traci w wodzie na ciężarze tyle właśnie, ile waży woda tejże samej objętości, czyli woda przez to ciało usunięta. Genialnemu człowiekowi, jakim był Archimedes, spostrzeżenie to dało już dostateczną wskazówkę, jak na zadane mu pytanie odpowiedzieć.

Wiedział on mianowicie, że złoto jest 20 razy, srebro zaś tylko 10 razy od wody cięższe. Skoro więc odkrył, że każde ciało w wodzie tyle właśnie traci, ile waży woda tejże samej objętości, rozumował dalej w sposób następujący, Korona waży 20 funtów, gdyby więc była z czystego złota: traciłaby w wodzie 1 funt; gdyby zaś była tylko ze srebra traciłaby 2 funty. Gdyby zawierała, dajmy, 15 funtów złota i 5 funtów srebra, traciłaby  $\frac{15}{20} + \frac{5}{10}$ , czyli  $\frac{3}{4} + \frac{1}{2}$ , to jest  $1\frac{1}{4}$  funta. Po zważeniu okazało się, że traciła nieco mniej, zawierała zatem nieco więcej nad 15 funtów złota, a prawie pięć funtów zastąpił złotnik tańszem srebrem, ściągając tym postępkami nieuczciwym na gród swój karę rozniewianego Jowisza.

Zasada przez Archimedesą odkryta tłumaczy nam, dla czego jedne ciała w wodzie toną, inne zaś po niej pływają; ona też uczy, jak budować można potężne okręty, żelazem opancerzone. Znajomość jej jest więc bardzo użyteczna; za odkrycie to z wdzięcznością i uwielbieniem wspominamy nazwisko Archimedesą, a pamięć o nim nie zaginęła, chociaż od czasu, gdy żył i badał, dwa tysiące przeszło już lat.

Niezaprzeczyć dobywali ludzie ciężary z wody, Archimedesem nie dostrzegł, że dopóki ciężar nie zostanie łatwiej dany się w górę dźwigać, aniżeli woda, nie może być z niej już wynurzony; każdy może to łatwo zobaczyć, gdy w kubek wody ze słodki szejkijski, ale nie zwrócić na drobniostkę tę uwagę zwraca. Człowiek

wiek wszakże bystry, genialny, drobniostkami takimi nie gardzi; umie on patrzeć, dostrzegać, obserwować, a z drobnego dostrzeżenia wysnuwa prawdy nowe, wykrywa rzeczy ludziom jeszcze nieznanne.

Od starego Archimedesą przenieśmy się teraz do czasów nowszych.

Było to w roku 1583. W kościele katedralnym w Pizie, we Włoszech, rozbijał się świecznik na długim zawieszony sznurze, a przez nieuważnego przechadzającego studenta ujęty. W kościele znajdował się wtedy nafty, dziewiętnastoletni student uniwersytetu, Galileusz, a ruch rozkołysanego świecznika wzrok jego zatrzymał. Siłami pchnięty świecznik zataczał z początku łuki obszernie, czyli przebiegał drogi wielkie, ale z wolna, w miarę, jak ruch się uspokajał, łuki te stawały się coraz mniej rozległe, coraz drobniejsze. Pomimo tak ciągłego wszakże zmniejszania się łuków, wydało się Galileuszowi, że każdy oddzielny przebieg, każde wachnięcie świecznika trwało jednakowo długo, że na przebieżenie łuku mniejszego świecznik potrzebował jednakiego przeciągu czasu jak i na opisanie pierwotnej, większej drogi. Zegarka nie posiadał, w owym bowiem czasie nie znano jeszcze, nietylko kieszonkowych, ale ściemnych nawet zegarów. Zdziwiony więc osobliwym tak zjawiskiem, chcąc sprawdzić, czy się nie błądzi, zaczął liczyć uderzenia własnego swego tentna czyli pulsu, a spoglądając zarazem na rozbujaną wciąż świecznik, przekonał się, że rzeczywiście trwanie wachnięć od obszerności jego nie zależy, co oznacza, że każde wachnięcie, czy to obszerniejsze i dłuższe, czy też drobniejsze i krótsze, trwa zawsze przez czas jednakowy.

Sam nieraz zapewne widziałeś ciężarek bujający się na sznurku, ale przyznaj się otwarcie, czy na uderzający ten szczegół uważę zwróciłeś. Jeżeli chcesz go teraz potwierdzić, uwiąż na długiej nitce jakikolwiek ciężarek, by należycie była wyprężona, drugi zaś jej koniec ujmij w palec, albo, lepiej jeszcze, przyczep go do jakiegokolwiek podpórki; po takim przygotowaniu odchyl ciężarek, raz dosyć znacznie, następnie zaś bardzo słabo tylko i spróbuj naliczyć, ile razy zakołysze się ciężarek w jednym i drugim przypadku w ciągu minuty. Sam sobie zapewne nie poradzisz, użyć musisz pomocy swego towarzysza. Jeden z was niech patrzy na wahadło i liczy głośno wachnięcia, drugi zaś niech spogląda na zegarek sekundy i niech daje znak, gdy upłynie minuta od początku liczenia wachnięć. Jeżeli za pierwszym razem, gdy ruchy były obszernie, naliczymy wachnięć, dajmy 70, to i następnie, gdy wahania są drobne, naliczymy ich również 70, a co najwyżej może 71 lub 72.

Nadmienię jeszcze, że gdyby sznurek był dłuższy, ciężarek kołysałby się prędzej, trwanie bowiem wachnięć od długości sznurka zależy, ale o tem w tej chwili mówić nie mamy potrzeby. Przy jednakowej wszakże długości, jak poznajemy, wahadło kołysze się jednakowo szybko, czy odchyla je dalej, czy też słabiej od kierunku pionowego.

Osobliwy na pozór taki rezultat łatwo zresztą wytłumaczyć sobie możemy. Ruch wahadła powoduje siła ciężkości, czyli, jak zwykle mówimy, przyciąganie ziemi. Gdy więc odchyla je znacznie od kierunku pionowego, a siła ciężkości ściąga energicznie wahadło do położenia pierwotnego; gdy zaś usuwany je niewiele, równowaga nieznacznie tylko jest naruszona, a siła ściągająca działa teraz słabiej. W pierwszym razie wahadło przebiega drogę większą, ale posiada też prędkość znacznie większą; w drugim razie drogę mniejszą zatacza wolniej, a stąd pochodzi, że jedną i drugą przebiega w czasach jednakowych, równych, co krótko możemy wyrazić, mówiąc, że wahania są równoczesne.

Zasada ta równoczesności wachnięć okazała się dla nas niesłychanie użyteczną. Dopóki jej bowiem nie znano, nie posiadano dobrych zegarów, któreby chodziły jednostajnie. Skoro wszakże poznano, że wachnięcia są równoczesne, połączono wahadło z mechanizmem zegarów, który w taki sposób posuwa się jednostajnie i dokładnie, aż na bieg minut i godzin. Bez dobrych zegarów nie moglibyśmy się

raz obejść, a jeżeli je posiadamy, zawdzięczamy to temu, że Galileusz umiał patrzeć i obserwować.

W tymże samym czasie, kiedy żył Galileusz, zdarzyło się, że dzieci pewnego fabrykanta okularów w Holandyi powycięły ojcu kilka oszlifowanych szkiełek czyli soczewek używały ich do zabawy. Na wysokiej wieży kościelnej adzony był kogut, który z ziemi wydawał się drobnym niewyraźnym; chłopcy zaczęli mu się przyglądać przez oje szkiełka, ale stąd żadnej nie mieli korzyści, a nawet stać koguta bardziej jeszcze przedstawiała się niewyraźną. den wszakże z chłopców spojrzął na koguta przez dwa dła, które trzymał w pewnej odległości jedno przed drugim, a wtedy ptaka daleko na wieży osadzonego zobaczył i wraźnie, jak gdyby miał go tuż przed oczyma. Zdumony, opowiedział o tem ojcu, który potwierdził słusność go spostrzeżenia i zbudował lunetę, czyli przyrząd optyczny do obserwowania przedmiotów oddalonych. Pierwsza luneta służy nam dziś jeszcze, jako lornetka teatralna, ale też zbudowano następnie w sposób nieco odmienny, lunety potężne, przez które dostrzeżono góry na księżycu, i na słońcu, miliony gwiazd, o których istnieniu nie dzielibyśmy zgola, gdyby wzrok nasz tak potężnej nie miał pomocy. Być może zresztą, że opowiadanie to o dziełach które bawiły się soczewkami swego ojca, jest bajką. W każdym jednak razie na wynalazek lunety naprowadził przypadek, ale przypadek poparty bacznie dostrzeganiem i uważnym patrzaniem.

(d. n.)

# WALKA Z TYGRYSEM

Zdarzenie prawdziwe  
opowiedział A. K. G.

Pewnego wieczora siedziałem na werendzie mojego „bungalow” w Indjach wschodnich gdy służący mój Ramsing wszedł prosić mnie o pozwolenie spędzenia nocy w sąsiedniej wiosce, przy starej chorej matce. Tłumaczył się po- nie, że mu przykro bardzo opuszczać mnie na noc, lecz że wawał matka jego była śmiertelnie chora musiał ją odwiedzić. Nie mogłem odmówić tak słusznemu żądaniu, jakkolwiek wiedziałem, że w skutek tego będę zmuszony spędzić noc samotnie, oddalony o jakie parę mil od wszelkiej ludzkiej istoty. Inni moi słudzy nocowali we wsi, ja zaś znowałem sam jeden bungalow, które stało wśród rozległego pola; na skraju tego pola zaczynały się gęste zarośla i trawy wzbudzające w krajowcach silną obawę.

Przed odejściem Ramsing zaklinał mnie, abym tej nocy nie zostawiał drzwi od sypialni otwartych, co zwykle czyniłem z powodu straszego gorąca. Dodał, że we wsi chodziła pogłoski jakoby słyszano złowieszczy pisk „faju” małego zwierzątka wielkości kota, tak nazwanego od wydawanego przez niego krzyku. Ten krzyk napęła przerażeniem wszystkich, którzy go usłyszą; jest bowiem ogólne przekonanie w Indjach, iż „faju” poprzedza przybycie tygrysa.

Nie wyjaśniono dotychczas, czy zwierzątko to towarzyszy tygrysowi, aby skorzystać z resztek jego zdobyczy, czy też z innych jakich pobudek, w każdym razie krajowcy uważają je zwykli jako zsyłane przez Opatrzność ostrzeżenie o zbliżaniu się straszliwego nieprzyjaciela.

Niebardzo ufając opowieściom tehrzliwych Hindusów powiadziałem Ramsingowi, aby się o mnie nie trwożył, gdyż wystrzał ze sztucera będzie dostatecznym przywitaniem i zarazem pożegnaniem dla wszelkich tygrysów, któreby mnie próbowały tej nocy nawiedzić, rozkazałem mu tylko, aby wyjął broń z pudła i umieścił ją wraz z kilku nabojami w szufladzie od komody, stojacej tuż przy łóżku.

uznałem za stosowne zaryglować starannie drzwi do sypialni.

Teraz dla zrozumienia, tego co się stało muszę skreślić pobieżnie obraz tego pokoju. Był on niezbyt obszerny i miał dwoje drzwi: jedne prowadzące na werendę, a drugie do jadalni. Łóżko stało w kącie naprzeciw drzwi od werendy i od strony głowy i jednego boku oddalone było od ściany o jakąś stopę, od strony nóg mieścił się stół z przyborami do pisania. Należy więc pamiętać, iż za łóżkiem było zaledwie tyle miejsca, aby się prześliznąć. Od strony zewnętrznej i w niewielkiej odległości od łóżka, stała komoda, a w ostatniej jej szufladzie służący złożył broń z nabojami. Łóżko moje był to bardzo ciężki drewniany mebel, jakich zwykle w Indjach używają. Dodają mu jeszcze wagi cztery słupki, podtrzymujące gęstą siatkę chroniącą od owadów z wiązaniem u góry. Było też one bardzo niskie, tak iż człowiek z trudnością mógłby się pod nie wcisnąć.

Po paru godzinach gorąco stało się tak duszącem, iż zmuszony byłem wstać i otworzyć drzwi od werendy dla wpuszczenia nieco świeżego powietrza. Sądząc że istotnego niebezpieczeństwa nie ma, a jeżeli jakie było to już minęło, zostawiłem je otwarte i położyłem się snu. Chłodny powiew okazał się skutecznym na bezsenność gdyż w kilka minut popadłem w sen głęboki.

Jak długo spałem, nie wiem, lecz obudziłem się ze drżeniem i jakimś straszem przecuciem grożącego niebezpieczeństwa; powietrze było gorące i gęste, jak gdyby więcej osób znajdowało się w izbie. Przez kilka chwil pozostawałem w stanie bezwładności, z oczami zwróconemi ku górze i nawpół otwartemi. Czulem niewyraźną chęć wstania i spojrzenia do koła, ale gnębiąca bezwładność nie opuszczała mnie i nie pozwalała otrząsnąć się z tego stanu pół snu i pół świadomości. Nagle zdało mi się że słyszę silny, ciężki, przeciągły oddech tuż przy mojem łóżku. Co to być mogło?... Nie śmiałem się obrócić aby, spojrzeć, a jednak ten oddech zdawał się coraz mocniejszym i bardziej przyspieszonym. Powiedziałem sobie, iż jakkolwiek jest przyczyna tajemniczego oddychania bezpieczniej dla mnie pozostać nieruchomym. Zacząłem tedy próbować zwolna i nieznacznie obrócić głowę ku zewnętrznej stronie łóżka. Zajęło mi to dwie lub trzy minuty. Otworzyłem na wpół oczy. J cóż ujrziałem?... ogromne, długie zwierzę rozciągnięte tuż przy łóżku, pomiędzy niem a ową komodą w której leżał mój sztucer. Głowa potwora zwrócona była ku mnie z dwoma świecącemi oczami. Przy bładem świetle księżyca rozpoznałem kształty olbrzymiego tygrysa. Rażony trwogą pozostałem bez ruchu. Nie było w okręgu dwóch mil ani jednej istoty ludzkiej, któraby mogła posłyszeć moje wołanie gdybym wołać zechciał o ratunek. Pomyślałem wnet o strzelisku, ale bestya rozłożyła się właśnie między mną a komodą: byłem na łasce tygrysa!

Dla czego jednak zwierzę nie rzucił się na mnie jeszcze? Jaka mogła być przyczyna takiego nietygrysięgo postępowania? Zacząłem myśleć, nie mogłem zresztą robić nic innego. Cóżby to być mogło. Ach to pewnie siatka od moskitów.... Tak, to ona. Zwierzę, ujrawszy nieruchomą postać pod siatką, wzięło zapewne całe to urządzenie za pułapkę \*). W takim razie jedyną ucieczką dla mnie było utrzymać je w tem złudzeniu, nie wydając najłżejszego głosu i nie czyniąc najmniejszego poruszenia. Leżałem tedy jak pień drzewa. Sekundy wydawały mi się godzinami, a minuty latami. W zwykłych okolicznościach pozując przed fotografem, może to być łatwem do wykonania, lecz w obec takiego sąsiedztwa znosiłem prawdziwą torturę.

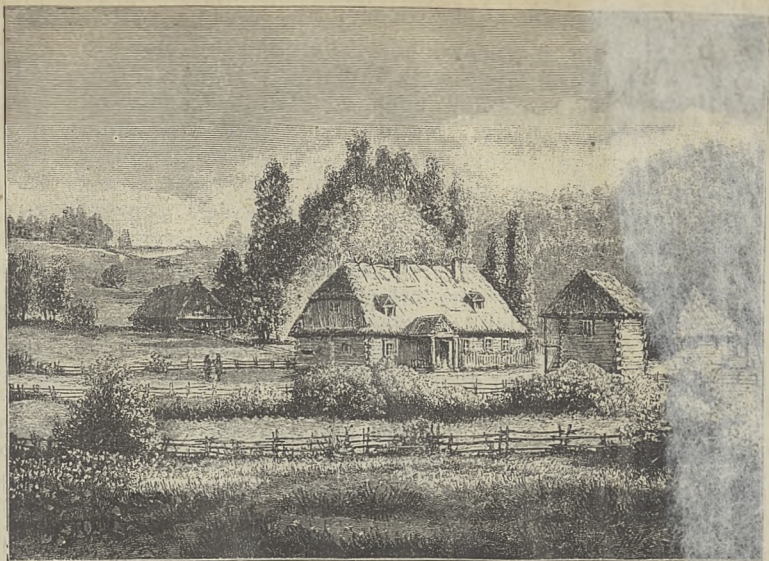
W końcu sam nie wiem, co się stało; może zakaszlał, może się poruszył dość że tygrys się podniósł, zbliżył się i zdawał się pożerać mnie swoim ognistym wzrokiem. Czy zaczynał już zdawać sobie sprawę, że to nie była pułapka, czy też głód brał górę nad instynktem zachowa-

\*) Krajowcy w Indjach zastawiają rozmaite pułapki i sidła do zabijania lub chwytania tygrysów.

Wszakże pomimo całej tej pozorniej odległości, idąc spód

wczym?... Ogiromną swą głową poczęł naciskać siatkę jak gdyby chciał mi się bliżej przypatrzeć. Przysuwał się coraz bliżej i bliżej. Czułem już jego oddech na twarzy a jednak nie śmiałem się poruszyć. Wtem zerwał się od naprężenia cienki sznurek, który siatkę podtrzymywał u góry i cała firanka zsunęła się na mnie. Złudzenie pierzchło.

Nie wahałem się dłużej. Korzystając z chwili zamieszania przy upadku firanki, stoczyłem się pod łóżko. Z dzikim mrukiem tygrys skoczył na łóżko, pewny, że tam jestem pod pościelą i poczęł ją drzeć zawzięcie pazurami. Nie znalazłszy, zeskończył przed komodę, gryzł ogon z wściekłości i oglądał się wkoło, aby odszukać swą zdobycz. Krótki to był moment wytchnienia, gdyż wnet zwietrzył mnie pod łóżkiem. Nastąpił straszny ryk tryumfu. Odkrył swoją ofiarę i głowę ku niej posuwać zaczął, ale szczęściem łóżko było za niskie! Paszcę położył na ziemi, lecz łeb potężny oparł się o skraj łóżka i nie mógł się pod nie wcisnąć. Jedno uderzenie, potem drugie nie mógł pomogły. Za każdym wysiłkiem łóżko gwałtownie się wstrząsało i podnosiło na kilka cali. Oszalały z bólu zwierzę, (gdyż musiał się silnie uderzyć), uczynił jeszcze wścieklejszy rozmach. Łóżko ustąpiło i głowa zna-

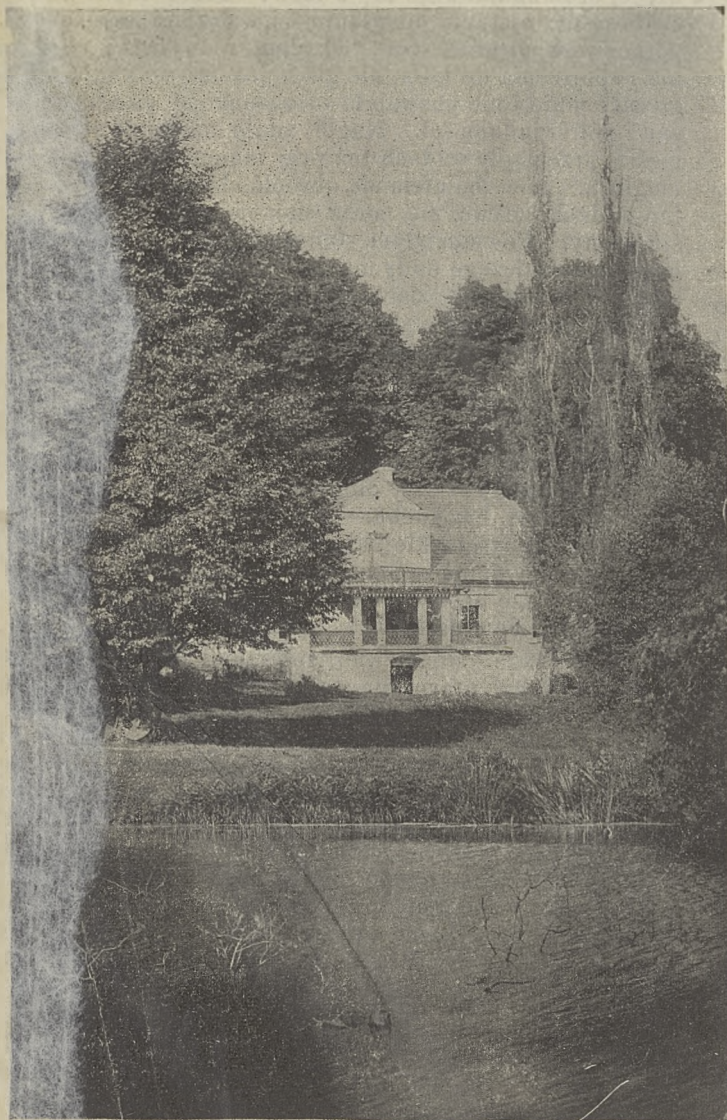


Zaobse, miejsce urodzenia Adama Mickiewicza.

lazła się pod nim z krwawiącą się raną; ostry skraj łóżka nacisnął mu szyję. Nowym wysiłkiem chciałem posunąć swój olbrzymi tułów dalej, ale nie mogłem. W wąskiej przestrzeni między łóżkiem i komodą ciało jego wychylone w łuk nie dało się już wpakować pod łóżko.

Tak leżeliśmy oko w oko naprzeciw siebie! Przy cisnąłem się o ile mogłem do ściany, aby się chronić od tych krwawych oczu. Straszliwe pazury tygrysa poruszały się w okropny sposób, jak gdyby kruszyły już moje kości i darły w kawały moje ciało. Kilka minut takiego leżenia wydały mi się nieskończenie długimi. Krótkie, ostre jęki wyrzywały się z szerokiej paszczy tygrysa zarówno z bólu, jak z gniewu. Zwierz musiał cierpieć dotkliwie nie tylko od rany na szyi, ale i od tego że spodnie i wnet łóżka wpiął się w szyję. Ból przewyciężył siłę, i poczęłem bować wyciągnąć głowę z pod łóżka. Coś mi się wstrząsnęło. Tu promień nadziei błysnął mi nareszcie. Głowa została uwieczona jak w kleszczach pod łóżkiem, tygrys znajdował się jak gdyby w pułapce. Reakcja, żniony taką pozycją targał się i mijał wściekle, ale co będzie, pomyślałem, jeśli się łóżko da podwinąć? Wówczas w kilka sekund wszystko skończono. W mgnieniu oka wygramoliłem się z pod łóżka, wskoczyłem na nie i całym swoim ciężarem jałem przyciskać kant nad głową tygrysa, którego ogromne cielsko w łuk wygięte wystawało z boku. Co począć żeby zabić potwora, co począć!... Gdybym tylko mógł dostać się do sztucera! Ale tygrys zapierał właśnie sobą szuflady od komody. Wyteżyłem myśl, aby wynaleźć jakikolwiek sposób zabicia tygrysa i to zaraz, przedko, bo dłuższy stan taki był nie do zniesienia. Zwierz spostrzegł już moje zniknięcie z pod łóżka i tem mocniej się wysilał żeby je przewrócić. „Już mam!” pomyślałem sobie. Tuż zaraz jest jadalnia, a w niej znajdują się zapewne jakieś noże! A gdyby tygrys tym czasem poczuwszy moją nieobecność i gwałtownym wysiłkiem wyswobodził się z pułapki?... Coż robię, dla mnie ostatnia to nadzieja ratunku... Zdecydowałem się i jednym skokiem ponad tygrysem wpadłem cichutko do jadalni. Tam, dzięki Bogu, natrafiłem wnet na duży kuchenny nóż. Równie cicho i bez tchu wróciłem na łóżko. Zawahałem się chwilę. Wiedziałem, że mogę zadać tylko jedno cięcie i to śmiertelne, gdyż rana, chociażby poważna, mogłaby tylko rozjaźnić zwierzę. Wyglądałem więc sposobność, ugodzenia w samo serce.

Tygrys rzucił się gwałtowniej, odchylił potężną łapę, a w tej chwili nóż mój ugodził go w górę.



Murawanka, to jest oficyna murowana w Tuhanowicach w Nowogrodzkim, w której Mickiewicz zamieszkiwał, przyjeżdżając jako student na wakacje.



ODSEGNIECIE POMNIKA A. MICKIEWICZA DNIA 24 GRUDNIA 1898 ROKU.

Rozległ się przeraźliwy ryk i trzask jakby od trzęsienia ziemi, straciłem przytomność...

Nazajutrz, gdy Ramsing powrócił z wioski, ujrzał cielsko olbrzymiego tygrysa, leżącego w kałuży krwi, obok przewróconego łóżka. Lecz pana swego nie dostrzegł odrazu. Dopiero po starannych poszukiwaniach wykrył mnie leżącego bez zmysłów pod stosem pościeli, przy murze, za łóżkiem. W swym ostatnim przedśmiertnym podskoku, tygrys przewracając łóżko, rzucił mnie głową o ścianę, tak gwałtownie, iż zemdlny padłem za nie, a przykryty pościelą, pozostałem tak do rana.

Przez dwa tygodnie leżałem potem w strasznej gorączce między życiem, a śmiercią. Było to następstwo silnego uderzenia w głowę i gwałtownego wzruszenia, w owej zabójczej walce. Wyszedłem jednak z choroby i teraz, gdy spisuję to zdarzenie, tylko wspaniała skóra tygrysa, wisząca przedemną na ścianie, świadczy, iż zdarzenie to nie było nocną marą, lecz najprawdziwszą rzeczywistością; codziennież dziękuję Najwyższemu, za to nadzwyczajne ocalenie.

## SETNA ROCZNICA URODZIN Adama Mickiewicza.

Według wieści ludowych - powiada Adam Pług — w chwili urodzenia się każdego człowieka, Bóg zapala na niebie nową gwiazdę, mającą mu przyświecać przez całe życie. Owoż w dzień Wigili Bożego Narodzenia roku Pańskiego 1798 Bóg zapalił na niebie naszym gwiazdę dla niemowlęcia, które stać się miało wielkim wieszczem. okryć chwałą przed światem literaturą rodz. i rozbudzać w sercu pokoleń arcydziełami swemi i przykładem umiłowanie dobra, piękna i prawdy.

Dzieciństwo Adama Mickiewicza przeszło spokojnie i szczęśliwie. Sam je nazywa później „sielskim i anielskim.” Urodzony w Zaosiu o siedmiu milach od Nowogródka, spędził je częścią na wsi. częścią w Nowogródku, bo w mie-

# W OBŁOKACH I PODWODA

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY”

opisał H. C.

## CZĘŚĆ II.

**Od Redakcyi.** Część II-a wypraw „Latającej Ryby” stanowi oddzielną całość, nie mającą związku z częścią I-a drukowaną w roku zeszłym. Dla wiadomości jednak nowych prenumeratorów objaśniamy, iż „Latająca Ryba” jest to niezwykle statek zbudowany w Londynie przez uczonego prof. Karlińskiego z wynalezionego przez niego metalu „eterium” lżejszego od powietrza.

Statek ten, w kształcie olbrzymiego cygara posiada oprócz ku wygodzie urządzonych kajut i salonów, specjalne zbiorniki: gdy są napełnione wodą statek zanurza się i posuwa się pod powierzchnią morza; gdy po wypchnięciu wody wpuści się w nie powietrze statek płynie po powierzchni, jak wszystkie okręty; kiedy wreszcie utworzy się w zbiornikach próżnia „Latająca Ryba” unosi się w powietrze i szybuje w górę, jak balon, którym można dowolnie kierować. Ruch statkowi nadają odpowiednie maszyny.

Bogaty Anglik, Sir Reginald Elphinstone, przyjaciel Karlińskiego i zapalony podróżnik dostarczył środków na zbudowanie tego niezwykłego statku, poczem obaj wraz z dwoma członkami klubu „podróżników”, pułkownikiem Leithbridge'm i porucznikiem marynarki Mildmay'em, oraz z kucharzem i służącym Jerzym, wyruszyli z pod Londynu wiosną roku 189\* na pierwszą wyprawę którą im się nadspodziewanie pomyślnie udało. Płynąc pod wodą lub szybując w powietrzu, dotarli w szybkim czasie do bieguny północnego, minawszy wśród rozmaitych przygód i niebezpieczeństw strefę lodowców. Pod samym biegunem znaleźli morze wolne od lodów i dość rozległe wyspy pokryte bujną roślinnością i zamieszkałą przez różne zwierzęta, między innymi przez olbrzymich przedpotopowych mamutów. Po kilkumiesięcznej podróży powrócili do portu Portsmouth w Anglii, unikając starannie, aby nie spostrzeżono ich statku, i po tygodniowym pobycie w Londynie wyruszyli na nową wyprawę do Afryki środkowej.

## I.

### W pogoni za jednorożcem.

Po tygodniowym pobycie w Londynie, czterej przyjaciele zebraли się znowu w klubie „Podróżników” przy wspólnym śniadaniu, które miało poprzedzić ich wyjazd do miasta Portsmouth, w bliskości którego oczekiwała na nich zagrożona w wodzie „Latająca Ryba.” Sprawozdanie z ubiegłych dni wykazało, że każdy z pożytkiem dla siebie wyjazd ten przepędził. Pofesor skórę mamuta złożył w ręce uczonego przyrodnika wobec członków Towarzystwa geograficznego, przed którymi też miał odczyt o morzu podbiegunowym. Leithbridge i Mildmay, chwile wolne poświęcili swym matkom, baronet zaś zajął się wysłaniem znalezionych na wyspie podbiegunowej brylantów do Amsterdamu dla oszczędzenia piękniejszych sztuk, przeznaczonych do podarunku między przyjaciółmi. Przywiezione futra zostały korzystnie sprzedane z wyłączeniem tych, które podróżnicy dla siebie zatrzymali.

Śniadanie przeszło wesoło na wspomnianiu doznanych przygód, poczem przyjaciele udali się na dworzec kolejowy. Tam zastali już oczekujących na nich kucharza i Jerzego, którzy także korzystali z kilkuniedniowego urlopu. W Portsmouth, strażnicy portowi, uprzedzeni telegramem o dacie przybycia Karlińskiego i jego towarzyszy, mieli w pogotowiu łodzie, na których podróżni podплыли do miasta, gdzie nieznana im wyprawą „Latająca Ryba” była warty pod wodą.

ście tem stale zamieszkiwał ojciec jego Mikołaj, komornik miński i adwokat subseliów nowogrodzkich. Był to człowiek zacny, światły i rozumny, a dbający wielce o wysztalcenie swych dzieci. Matka, pani Barbara (z domu mostowniczanka Majewska) całym sercem oddaną była licznej gromadce, którą ją Pan Bóg pobłogosławił.

Igrał więc młody Adaś z rodzeństwem i rówieśnikami swemi wesoło, otoczony troskliwą opieką rodzicielską, widząc dokoła malownicze wzgórza, lasy i pola pięknej nowogrodzkiej ziemi

W 10-m roku życia oddano go do VI-cio klasowej szkoły powiatowej ks. Dominikanów w Nowogrodzku. Uczył się bardzo dobrze i nieraz bywał celującym uczniem. Już wtedy podobno zaczął pisywać wierszyki.

Najważniejszym zdarzeniem z tej epoki jego życia, które nań niezatarte wywarło wrażenie, było przejście przez miasto rodzinne w 1812 r. wojsk francuskich pod dowództwem brata cesarza Napoleona, Hieronima króla Westwalskiego.

Po chlubnym ukończeniu szkoły powiatowej w 1815 r. młody, 17 letni chłopak, podążył o własnych już siłach do Wilna na uniwersytet, i na wakacje tylko przyjeżdżał w Nowogrodzkie, lecz do krewnych i znajomych, bo rodzice go odumarli.

W dziesięć lat potem opuścił strony rodzinne i aż do śmierci przebywał za granicą. Umarł w Konstantynopolu 26 listopada 1855 roku.

Setna rocznica urodzin naszego wieszczka, upamiętnioną została w Warszawie przez wzniesienie ze składek publicznych wspaniałego pomnika, którego uroczyste odsłonięcie odbyło się w sam dzień urodzin.

Projekt pomnika wykonał rzeźbiarz Cyprian Godebski, a całą sprawą budowy kierował komitet, na którego czele stał znakomity nasz powieściopisarz Henryk Sienkiewicz i księżę Michał Radziwiłł.

Niezależnie od tego zbiorowego hołdu, każdy z nas powinien stale czcić pamięć wielkiego poety, a uczyni to najlepiej, wczytując się w jego arcydzieła, które wzbudziły zachwyt całego świata.

Ig. B.

## Świadectwo Adama Mickiewicza

z ukończenia szkoły w Nowogrodzku,

(z oryginału łacińskiego).

„Wszystkim i każdemu z osobna, którego to obchodzi lub w jakikolwiek sposób obchodzić będzie mogło, czynimy wiadomem, iż pan Adam Mickiewicz w publicznej szkole naszej Nowogrodzkiej, do klasy VI-iej w ciągu jednego roku uczęszczał, do wszystkich nauk, które przez kierowników wychowania publicznego są przepisane, jak: matematyka, fizyka, chemia, literatura, historia etc. pilnie się przykładał i nic przeciwnego obyczajności nie popełnił, lecz owszem pobożnością, nieskazitelną obyczajów przyświecał. Dlatego, uznając go godnym naszego zalecenia, świadectwo to, pieczęcią opatrzone, podpisaliśmy własnoręcznie.

Dan w Nowogrodzku, r. p. 1815, w dniu 10 miesiąca lipca.

Marcin Rokicki, prefekt szk. nowogr.

Hyacyn Terlecki, prof. fizyki i hist. nat. Franciszek Gidziwicz, profesor matemat., Joachim Więckiewicz prof. literat. (Następnego dnia nie czytelny; może Pietrusiewicz prof. moralno-

Odnalezienie owego miejsca ułatwiła sonda zapuszczona w morze; profesor przywdziawszy ubiór nurka, zniknął niebawem w głębiach kanału „La Manche,” schodząc po drabnicy opatrzonej ciężarkami, a następnie dał sygnał, że znalazł szczęśliwie na dno morskie. Światło elektryczne błysnęło pod wodą i niebawem zagasło.

Świadczy to, że już dostał się do okrętu — rzekł bawem do towarzyszy, siedzących na drugiej łodzie.

Jakoż przedko ponowny strumień jasnego światła zajął w niedalekiej od powierzchni odległości.

— Profesor znajduje się już w kajucie sterniczey — powiedział sir Reginald uradowany — bierz za wiosło Jerzy — cofnąc łodzie nasze i zostawić wolną przestrzeń dla „Ryby”

W kilku minutach woda zaszumiała i wynurzył się kadłub okrętu. Światło zajaśniało w oknach kajuty sterniczey, a na pokładzie ukazał się profesor, wołający do towarzyszy głosem:

— Możecie zaraz siadać na statek; wszystko w porządku. Kilkanaście minut później „Latająca Ryba” szedła już w powietrzu na wysokości 300 stóp nad powierzchnią morza, w kierunku południowo-zachodnim. Około północy powiększono szybkość do 100 mil ang. na godzinę i wnieziono statek na wysokość 1000 stóp, podróżni zaś nie mając żadnej obawy co do bezpieczeństwa i polegając na dokładności automatycznego działania maszyn, tak mądrze przez profesora urządzonych, udali się na spoczynek.

Następnego rana po przebudzeniu się ujrzeli już przed sobą lekkitne fale morza Śródziemnego i śmiejące w dali wybrzeża afrykańskie z białą plamą domów Tunisu. Minąwszy miejscowość, gdzie niegdyś wznosiła się słynna w dziejach Kartagina, podróżni przelecieli kolejno ponad łańcuchem gór, zatoką Hammamet, jeziorem Kairwan z wpadającą do niego trzema rzekami; dalej przylądek Dimas, zatokę Gabes, aż do Tripolis, którego dosięgli około południa, tracąc w tym punkcie z przed oczu morze Śródziemne. W dalszym ciągu przyjaciele szybowali w powietrzu ponad Fezanem, pustynią Libijską, Sudzaniem i Dar-Zaleh. Z każdą godziną zmieniały się krajobrazy, przesuwające się pod nimi widzieli naprzemian okolice urodzajne, starannie uprawne z rozrzuconemi dokoła wioskami, lub ziemie jałowe i piaszczyste pustynie. Zwierzyny spostrzegali niewiele.

Po za 10° szerokości północnej ginęły już ślady cywilizacji ludzkiej i zaczynał się kraj lesistych wzgórz, bujnych traw, bagnistych łąk, co wróżyło myśliwym sposobność pomysłnych łowów. Okolice była mało zaludniona, osady krajowców odległe o kilkadziesiąt mil ang. jedne od drugich. Zamieszkiwało je plemię Murzynów, silnej budowy ciała, zręcznych do polowania i różnego rodzaju ćwiczeń, nie łatwą było jednak rzeczą powziąć wyobrażenie o ich zwyczajach i trybie życia, bo za ukazaniem się „Latającej Ryby” uciekali, krzycząc przeraźliwie i kryjąc się po lasach i norach.

W miarę jednak jak się posuwali w głąb kraju podróżni z wysokości wzniesionego na parę set stóp nad ziemią statku mogli zauważyć coraz więcej różnego rodzaju zwierząt jak: antylopy, stała bawołów, dzikich koni, pojedynczo lub gromadnie chodzące słonie, lwy, lamparty, nosorożce, goryle, nie mówiąc już o niezliczonych odmianach małp i innych mniej poszukiwanych przez myśliwych gatunków. Dla zapalonych Nemrodów było to jakby urzeczywistnieniem marzeń o rajach na ziemi; podróżni też nasi postanowili spuścić wreszcie na ład „Latającą Rybę” i zatrzymać się w tych stronach dłużej kilka, dla użycia przyjemności łowów i z bogactwa europejskich gabinetów zoologicznych nowemi okazami. Na miejscu dla statku obrali miejsce otwarte, mające w pobliżu zarośla i strumień, uchodzący do sąsiedniego jeziora.

Złoty myśliwi czynili przez tydzień wyprawy, zdobywając bogactwo łupy ze skór zabitych zwierząt, zbierając drogocenne pierogi, kość słoniową i pióra strusie. Osiągnąwszy

w ten sposób cel zamierzony, już zamysłali o opuszczeniu tego miejsca, gdy nagle przytrafiła im się niespodziewana przygoda.

(d. c. n.)

# PRZED EGZAMINEM.

OBRAZEK SCENICZNY  
przez S. Moszczeńską.

## OSOBY.

- Julcia lat 14
  - Zosia „ 15
  - Marynia „ 15
  - Helenka „ 14
  - Wandzia „ 10
  - Stasia „ 9
  - Świątkowska — Służąca.
- } pensyonarki.

(Scena przedstawia klasę. Kilka ławek rzędem, tablica, przed tablicą w pobliżu pierwszej ławki stół. Ciemno. Drzwi w głębi i drzwi na lewo. Po odstonięciu kurtyny klasa przez chwilę pusta. Po chwili, cichutko otwierają się drzwi w głębi i wstawa się najprzód Marynia z lampką nocną w rękę, za nią Julcia, Zosia i Helenka. Dziewczynki niosą pod pachą książki i kajety; ubrane niedbale w kaftanikach, otulone szalami. Helenka owinięta białą koldrą. Na palcach kierują się w stronę tablicy, dając sobie znaki, aby się spokojnie zachowywać. Mówią najprzód prawie szeptem, potem coraz głośniejsz, w miarę jak rozmowa się ożywa, Marynia stawia lampkę na stole).

## SCENA 1.

(Julcia, Marynia, Helenka, Zosia).

**Julcia.** Postaw tak, żeby światło padało na tablicę, bo nic widzieć nie będziemy.

**Marynia.** (Poprawia lampkę).

**Helenka** (siada w ławkę w kącie zaciemnionym, opiera się plecami o ścianę). Ja tu usiądę; światło mnie razi w oczy.

**Zosia.** Ej! bo usniesz.

**Helenka** (życiwej). Skąd znowu! Przecież jutro egzamin z geometrii; niema czasu spać.

**Julcia.** To wy nigdy nie śpicie przed egzaminami? Taki tu zwyczaj?

**Wszystkie razem.** Naturalnie! W dzień niema czasu się uczyć. Nie zwyczaj! bo potrzeba!

**Julcia.** Ha! jak potrzeba, to się uczmy!

**Marynia** (siadając przed tablicą, rozkłada na kolunach książkę). Zaczynamy, bo już późno.

**Zosia.** Przepraszam, już jest wcześniej, druga godzina.

**Helenka** (głosem śpiącym). Wpół do trzeciej.

**Julcia.** Druga.

**Helenka** (wpół śpiąc). Pół do trzeciej.

**Marynia.** Dajcie temu pokój. Uczmy się bo czas ucieka.

**Zosia.** Dobra sobie! Zaczynaj, miałas przecie tłomaczyć. Ty wszystko rozumiesz.

**Marynia.** Nie mogę wam całego podręcznika tłomaczyć. Powiedzcie co chcecie powtórzyć? Czego nie rozumiecie.

**Helenka** (ospale). Ja tam niczego nie rozumiem.

**Zosia.** Ja rozumiem to i owo, ale zapomniałam tego, co to dwie linijki przecięte jedną ukośną, i potem ilość kątów w trójkącie równa się czemuś, ale czemu? powieś mnie, to nic nie pamiętam; potem jeszcze jakieś wycinki czy przecinki w kole, to już ani w ząb, — a najgorsze te krawki Pytagoresa!

**Helenka** (jak wyżej). Uhu! Pytagores najgorszy.

**Julcia**. J kie krawatki?

**Marynia**. Wiem, wiem. Kwadraty: dwa na katetach, jeden na hypotenuzie.

**Zosia**. Tak, to to. Wygląda to wszystko razem jak męski krawat.

**Helenka** (zawsze jak wyżej). No zacznij od tych katetów!

(*Marynia bierze w rękę kredę, linie i cyrkiel; rysuje. Dziewczęta wysilają się na uwagę. Helenka zaledwie otwiera oczy.*)

**Marynia** (Zaczyna wykladać). Jeżeli chcemy dowieść, że suma kwadratów wystawionych na katetach...

**Julcia**. To może być — ale nie to co Zosia mówiła.

**Marynia**. To nie „może” być — to jest. Ale cóż Zosia mówiła?

**Julcia i Zosia** trącąc się łokciami i spoglądając na siebie.

**Zosia**. Powiedzieć? czy nie?

**Marynia**. Macie jaką tajemnicę przede mną?

**Julcia**. Lepiej nie mówić, bo jej będzie przykro.

**Marynia** (zaniepokojona kładzie kajet, zeskaluje z pulpitu i zbliża się do nich). Powiedźcie, co takiego? ja się boję!

**Zosia**. Eh! to pewno nieprawda.

**Marynia**. Ale co takiego przez litość!

**Julcia**. Już lepiej powiem. Zosia słyszała, że nie dostaniesz pierwszej nagrody.

**Marynia** (zadyszana rusza ramionami). Wielkie rzeczy! co mi po nagrodzie? Wszystko mi jedno. Ale kto to mówił?

**Zosia**. Eh! nie powiem bo będziesz miała żal do niej.

**Marynia**. Cóż znów! Do kogo? Na co te zagadki?

**Julcia**. Nie mówmy. Przecież widzimy, że już się gniewasz.

**Marynia**. Ja? jak mamę kocham! ani myślę (coraz więcej rozdrażniona). To mi tylko przykro, że coś przedemną kryjecie. Może też to wszystko nieprawda, tylko mówicie umyślnie, żeby mnie podrażnić.

**Zosia i Julcia** (razem). Widzisz, lepiej byłoby nic nie mówić. Teraz wyjdzie na to, że my plotki robimy.

**Zosia**. A to jednak zupełna prawda.

**Marynia** (przedrzeźniając). Zupełna prawda! To jest co? To, że nie dostanę nagrody, czy to, że wam o tem ktoś mówił?

**Zosia**. Ja sama słyszałam, jak Stefcia mówiła Olesi, że słyszała od Reginki, której mówiła panna Champfleurs, że pewno nie dostaniesz pierwszej nagrody.

**Marynia**. A panie Champfleurs mówił pan Alpejski, a panu Alpejskiemu ksiądz, a księdzu doktor, a doktorowi pan Soneciński, a panu Sonecińskiemu panna Michalska i t. d. Cała litania osób, odmawiających mi pierwszej nagrody, a na czele Reginka z Olesią. Raczej nie: Zosia z Julcią, które mi zarzucają grzech śmiertelny, że wstaję z niemi po nocach i tłumaczę geometryę, bo same nic nie rozumieją.

**Zosia**. Moja kochana, tego już nadto. My chcemy cię ostrzedz, uprzedzić, przygotować — a ty nas jeszcze podejrzewasz i oskarżasz. Jeżeli nam masz wynawiać swoje poświęcenie, to lepiej idź spać. My twojej łaski nie potrzebujemy.

**Julcia**. Naturalnie. Lepiej było wcale nie wstawać, niż się kłócić — widać na nikogo liczyć nie można. Myślałyśmy, że chodzi o to, żeby nam pomódz naprawdę — a ty...

**Marynia**. Czy to moja wina, że ty nie uważałaś?

**Julcia**. A czy to moja wina, że ci nie chcą dać nagrody?

**Wandzia** (trąca Stasię). Patrz, jak te duże się kłóca.

**Marynia** (z płaczem). Jeszcze tego potrzeba żeby nas małe wysmiewały.

**Julcia**. Bo też się nie kłómy; uczmy się kiedy już na to wstałyśmy.

**Marynia**. To się uczcie same. Przecież mojej łaski nie potrzebujecie.

**Zosia**. Przeprosiłabym cię uroczyście, ale nie wiem za co?

**Marynia**. Ja wcale tego nie żadam.

**Julcia**. O co ty się na nas gniewasz?

**Marynia** (placze).

**Zosia i Julcia** patrząc na siebie i mówiąc razem. Nie gniewaj się Maryniu!

**Marynia** (cicho). Ja się nie gniewam.

**Zosia i Julcia** (ściskając ją). Nie płacz, jedna z nas. Przecież to jeszcze niepewne; może to tylko taka pogotka.

**Julcia**. Ty przecież tak doskonale wszystko umiesz.

**Marynia**. Tak wam się zdaje, a jednak mogę przy egzaminie się zaciąć. Jestem taka zmęczona!

**Zosia**. Biedna Marynia! I jeszcze dla nas wstała po nocach. (Za sceną słyhać głośnie kroki, dziewczęta zrywają się i biegną; — male w głąb — starsze do drzwi na lewo. Każda chwytając co może, książki, kajeta i lampkę. W drzwiach wpadają na Świątkowską, która wchodzi ze szczotką i śmieciarką w rękę. Jedna tylko Helenka śpi i kiwa się na ławce.)

(d. c. n.)

### Spis książek z biblioteczki domowej.

Wieczorów Rodzinnych, które całoroczni prenumeratory otrzymać mogą do wyboru, jako premium na rok 1899. Większe książki po jednej; *Juraś i Anulka* czyli historia rozbitków, *Orla skrobi*, *Śród chmur i słońca*, *Dla szczęścia rodziny*, *Zwalczone uprzedzenie*.

Mniejsze po dwie: *Poza gniazdem Teresy Jadwigi Robinson kanadyjski*, *Przez lasy i przez ogień*, *Szmaragd Yukasów*.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRZĘŚĆ: Nie brońcie dzieciom przystępu do mnie, (wiersz z ryciną), przez Sewerynę Duchiniąską. — Patrz, przez S. K. — Walka z tygrysem, zdarzenie prawdziwe, opowiedział A. K. G. — Setna rocznica Adama Mickiewicza (z ryc.), przez J. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej Ryby” przez H. C. — Przed egzaminem, obrazek sceniczny, przez S. Moszczeńską. — Dodatek: Pierwsze wrażenie z poezji Mickiewicza, przez L. Życką. — Złoty pieniądz. — Łemigłowi. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Powroci, powieść dla dorastającej młodzieży, przez T.



# WIECZORY RODZINNE

## Pierwsze wrażenie z poezji Mickiewicza.

Byłam jeszcze tak małą dziewczynką, że mi ledwie pojedyncze litery parę razy pokazano i nazwano. A mieszkaliśmy wtedy u nas w domu dwie moje babunie, które mi, każda na swój sposób, owe literki rozpoznawać pomagały.

Jedna, otwierała przede mną dużą swą książkę do nabożeństwa w ciemną skórę oprawną, gdzie każda modlitwa, zaczynała się od bardzo wielkiej czarnej litery, i kazała mi się ją nauczyć i wymawiać. Druga babcia, wołała mię zwykle po obiedzie do swego pokoju i rozkładała na kolanach książkę z portretami różnych sławnych ludzi i kazała mi też wymieniać litery wielkie, od których zaczynały się ich nazwiska. I tak na A, była Anna Jagiellonka w płaszczu gronostajowym i w koronie na głowie: na D, Długosz Jan, z wielkiem piórem w ręce, siedzący za stołem założonym książkami, na J, ukochana przeze mnie Jadwiga królowa i tak, aż do Z, którym zaczynało się nazwisko Zamoyskiego. Babunia umiała o każdej postaci opowiedzieć mi coś tak zajmującego, że nie tylko pierwsze litery, ale i całe nazwiska i rysunki wrażały mi się w pamięć i aż mi się śniły po nocach.

Bardzo kochałam obie moje babunie i uczyłam się całych wyrazów modlitewnych ze skórzanej książki i z obrazków tak prędko, że wkrótce umiałam je czytać głośno i równo, sama jedna.

Niedługo dostałam pierwszą własną książeczkę z bajeczkami wierszowanymi. Co to była za radość!

Umiałam już dużo wierszyków na pamięć, ale to były krótkie bajeczki, które mi czasem kazano mówić stryjaszkom.

Aż raz mama i babunia obie powiedziały, że mogę już nauczyć się czegoś dłuższego, i wybrały z mojej książeczki wiersz pod tytułem: *Powrót Taty*.

Ojca mego w tedy bardzo długi czas nie było w domu, i serduszko moje nieraz biło mi mocno słuchając, jak mama i babcia obie rozmyślały, kiedy może przyjechać i czy wróci szczęśliwie, i czy mu się co złego nie stanie, tam daleko, między obcymi ludźmi?

To też z wielkim przejęciem nauczyłam się prędko na pamięć całego wiersza, i często leżki spadały mi z oczu, jak mówiłam niby słowami mamy:

Tato nie wraca! ranki i wieczory  
We łzach go czekam i trwodze,  
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,  
I pełno zbójców na drodze!

A potem zdawało mi się, że widzę, jak te biedne dzieci wyjmują książeczki z kieszonki.

I litanie do najświętszej Matki  
Starszy brat śpiewa, a z bratem,  
Najświętsza Matko, przyśpiewują dziatki  
Zmiłuj się! zmiłuj nad Tatem!

I chciało mi się z całych sił modlić się wtedy tak głośno, żeby aż do Nieba doleciała moja prośba.

A potem chwyciła mnie radość, kiedy ojciec rozdawał dziatkom rodzynek z koszyka, jak im było tam wesoło, jak wszyscy razem mówili i jak pełno było radości i krzyku!

Ale też zaraz, gdy wyskoczyło dwunastu zbójców, których:



Słyszac to dziatki biega, wszystkie razem  
Za miasto, pod słup na wzgórek;  
Tam przed cudownym kłękają obrazem,  
I zaczynają pacierek.

Potem: Ojciec nasz, Zdrowas i Wierzę,  
Dziesięcioro i koronki;  
A kiedy całe zmówili paciery,  
Wyjmą książeczki z kieszonki.

... brody długie, kręcone wąsiska  
 Wzrok dziki, suknia plugawa.  
 Noże za pasem, miecz u boku błyska,  
 W ręku ogromna buława.

## ZŁOTY PIENIĄDZ.

### I.

to mi się tak okropnie robiło, że czułam jak zimno mnie przechodziło od stóp do głowy. Najwięcej mnie przerażały owe noże za pasem. I taki mi żal było tych dzieci, co się chowały i tuliły pod płaszcz ojca, który oddawał wszystkie bogactwa rozbójnikom, a tylko błagał ich:

Nie róbcie małych sierotami dzieciak  
 I młodej małżonki wdową.

A potem, powoli, ogarniał mnie jakiś spokój, gdy wyobrażałam sobie, że głosem starszego zbójcy, mam prawo uwolnić tych biedaków i powiedzieć im:

„Idźcie dalej bez trwogi.”

W prawdzie jeszcze przy słowach: „pierwszybym pałkę strzaskał na twej głowie, gdyby nie dzieciak pacierze” nie cierpiałam tego zbójcy, bo jak można tak okropne mieć zamiary, i tak straszne wymawiać słowa.

Ale gdy dobitnie mówił dalej:

„Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało  
 Darzą cię życiem, i zdrowiem,  
 Im więc podziękuj za to co się stało,  
 A jak się stało, opowiem”

to już przy tych słowach zaczynałam całkiem nieźle myśleć o nim.

Ten rozbójnik jednak mógł stać się dobrym, jeżeli sam poczuł trwogę przed Bogiem na widok modlących się dzieci i litość poczuł nad niemi.

A już pod koniec, prawie zaczynałam go kochać kiedy powiedział:

„Słucham, ojcyste przyszły na myśl strony,  
 Buława wypadła z ręki,  
 Ach! ja mam żonę i u mojej żony,  
 Jest synek, taki maleńki.”

Gdy zaś prosił dziatki o pacierze za swoją duszę, to już jakbym wiedziała, że on odtąd nawrócił się, poprawił, odpokutował. Wtedy ogarniała mnie wielka jakaś radość, że Bóg jest taki dobry, że dzieci choć małe, mogą już przydać się na coś rodzicom, i ocalić im nawet życie swoją modlitwą. A musiały to być dobre dzieci, posłuszne pilne i mieć musiały czyste, jasne duszyczki, bo babunia mówiła, że tylko takich dzieci Bóg modlitwy wysłuchuje.

— A kto opisał całe to zdarzenie tak, że je widzę jakbym własnymi oczami patrzyła, odczuwam to wszystko, co te dzieci i ojciec czuli? spytałam raz babcia.

— Człowiek który to tak pięknie, jasno i rzewnie opisał — rzekła babcia — jest naszym największym poetą i nazywa się:

*Adam Mickiewicz*

*L. Życka.*

Już wszystkie zegary wybiły północ i w oknach pięknej narożnej kamienicy dawno pogasły światła, a z niskiego okienka suteryny jasny promień kładł jeszcze jaskrawe smugi na bruk ulicy i do uszów spóźnionego przechodnia dochodził zgrzyt piły, uderzenia młotka i przesuwania hebla po deskach. To stolarz Walenty jeszcze pracował! Na twarz zmęczoną całodziennym trudem wystąpił pot kroplisty, nogi od długiego stania uginały się prawie pod nim, nie zwracał jednak na to uwagi, bo musiał koniecznie wykończyć obstalunek, więc zwijał się żwawo, przyklejał, dopasowywał, odzywając się niekiedy do pracującego obok niego chłopca.

— Władek, a prędko tam zheblujesz tę deskę? Spiesz się chłopcze, uważaj tylko, aby nie była za cienka.

Chłopiec zwrócił uśmiechniętą twarzą ku ojcu.

— Właśnie skończyłem, czy podać?

— Pierwej pomóż mi postawić szafkę, pousuwamy półki wewnątrz i robota skończona!

Władek rzucił hebel i podbiegł do ojca. Nareszcie obaj usiedli; ojciec spracowane ręce założył na piersiach, znużoną głowę oparł o ścianę i zdawał się z rozkoszą używać zasłużonego wypoczynku, syn zaczerwieniony klaskał w ręce z radości.

— A to nam się udała ta szafka, ojcze, a jaka zgrabna, jak się świeci, już myślałem, że na jutro trzeba będzie resztę odłożyć, a tu się wydażyło! Jak myślicie, ojcze, ile nam dadzą za nią.

— Ze trzy papierki, więcej nie warta!

Tak mało? to pewnie nie odłożycie do skarbonki dla Anielki? a ja myślałem, że choć z jedną czterdziestówkę.

— Na twarz stolarza wystąpił cień smutku.

— Tak, dla Anielki! chciałbym, ale nie wiem, czy nam na wszystkie wydatki wystarczy; trzeba zapłacić komorne, kupić kartofli, okrasy, trochę grosza odłożyć na materiał, bo brać na kredyt to zawsze drożej wypadnie; a ty, Władku wcale butów nie masz!

— Ej, jeszcze się temi starami obejść, teraz na wiosnę najprzyjemniej boso biegać; pójdę do Wiktora, to mi dratwą łatkę przyszyje, a podeszwy to sobie sam wymyślę; zobaczycie ojcze, że ja i szewcem być potrafię!

Ojciec uśmiechnął się, a Władek tymczasem poszedł do szafy i, wydostawszy glinianą skarbonkę zaczął ją potrząsać

— Ho, ho, już tam bardzo dużo być musi, ale jeszcze nie pełno ojcze, możeby rozbić i zobaczyć?

— A to poco, moje dziecko, trzeba czekać, aż będzie pełna.

— Władek skrzywił się

— Czekać, powtórzyl, to takie nudne to czekanie! A kiedy będzie pełna?

Kiedy? Czyż on mógł wiedzieć ten ojciec pracujący, od świtu do późnej nocy, przy ciągłych wydatkach, a niewielkich zamówieniach, kiedy będzie mógł drobnymi oszczędnościami wypełnić skarbonkę! Pragnął bardzo,

aby to było jak najprędzej, bo mu serce krajało się, ile razy od pracy odwrócił głowę, by spojrzeć na nieszczęśliwą swą ośmioletnią córeczkę, Anielkę, siedzącą nieruchomo dniami całymi na niskim stołeczku pod piecem. Patrzyła na niego smutnie, jakby z wyrzutem, że tyle już lat siedzi, wcale chodzić i biegać nie może, a on tak pomału zbiera te grosze dla lekarza, któryby jej nóżki wyleczył. Odwracał wtedy szybciej jeszcze głowę w przeciwną stronę i ze zdwojoną energią przesuwiał hebel po deskach mówiąc sobie w duchu: prędzej prędzej, stary, cóż ty już ustajesz, na Boga nie wolno ci ani jednej chwili marnować, Anielkę do doktora przecież trzeba zawieść koniecznie!

I dnie, tygodnie, miesiące całe pracował, trudił się, głodny nieraz kładł się spać, aby więcej wrzucić do skarbonki, a mimo to tak daleko było do jej wypełnienia! Chwytał się nieraz za głowę z rozpacz! Boże! tyle zarobił a tak mało mógł tam włożyć, rzadko kiedy wsuwał rubla, częściej kopiejkę. Wyciągnął rękę do Władka.

— Daj! ja sam zobaczę, czy ciężka?

Odebrał od syna i ważył w ręce jakby z ciężaru chciał zmiarkować, ile też może zawierać. Lecz próba nie zadowolniła go widać, bo szybko oddał ją chłopcu.

— Weź, weź i schowaj, ale dobrze, aby jej kto nie wypatrzył i nie ukradł! A teraz spać, jutro skoro świt odniosę robotę i może z nowem zamówieniem wrócę; pamiętaj, że Anielkę do doktora obiecaliśmy sobie zawieść na wiosnę.

Tak Władek wiedział o tem. Codziennie prawie po skończonej robocie ojciec mu to powtarzał, a przecież jego serce cierpiało także nad tem, że ta słodka, cicha Anielka tak bardzo była nieszczęśliwą, że twarzyczka jej z każdym dniem prawie przybierała kolor żółtawy, a mimo to nie wyrzekała nigdy.

Całymi dniami przewracała starą zaplamioną książkę, którą jej kiedyś przyniósł z miasta ojciec, a Władek na niej nauczył czytać. Umie już prawie wszystkie bajeczki na pamięć, wszystkie powiastki ze sto razy przeczytała, a mimo to nie wypuszcza książki z ręki. Anielka pragnie bardzo uczyć się, czyta z zapałem lubi słuchać różnych opowiadań i sama chętnie opowiada przeczytane. Cóż, kiedy niema kto zająć się tą biedną kaleką. Ojciec i Władek muszą pracować i na życie i na ubranie i jeszcze na doktora, a ona, biedna mała, siedzi sama w maleńkiej izbie, przytykającej do warsztatu. Władek, całą niedolę swej siostry rozumie, to też nie leni się w pracy, dzielnie pomaga ojcu, byle tylko prędzej zebrać dużo pieniędzy, zawieść do doktora do Warszawy i widzieć później siostrzyczkę zdrową, biegającą, czerstwą i rumianą. Ale, to tak nie łatwo zdobyć pieniądze, skarbonka tak pomału się wypełnia, a Warszawa tak daleko; trzeba jechać koleją, a później i lekarza trzeba płacić. Boże, jak to jeszcze daleko do spełnienia tych marzeń. Ale Bóg dobry, pracy uczciwej i dobrym chęciom sprzyja zawsze, trzeba tylko czekać cierpliwie. Temi słowy Władek skończył po pacierzu swoje wieczorne rozmyślenia i usnął spokojny.

## II

Stolarz Walenty skoro świt wyruszył na miasto ze swą szafką. Władek uprzątnął warsztat, rozpalili ogień,

przyniósł chleba i trochę mleka na śniadanie. Gdy wszystko przygotował, zbudził śpiącą Anielkę.

— No, wstawaj śpioszku, — zawołał — patrz! mleko już gorące, chleb świeżutki, jeszcze prawie ciepły. Słońce świeci i nawet już trochę przygrzewa; ojciec wyszedł do miasta, nim wróci, mam dwie godziny swobody, spiesz się tylko i ubieraj; jak zjemy śniadanie, wyniosę cię trochę na podwórze, zobaczysz jak dobrze będzie, gdy cię słońce ogrzeje. Anielka klasnęła w ręce z radości.

— Oj dobrze, dobrze braciszku! Ja tak dawno myślałam o tem, jakżem rada!

Władek usmiechnął się. On wiedział, że Anielce sprawi to radość, a jemu czyż nie większą? Pomógł jej włożyć sukienkę; oboje głośno odmówili pacierz, a następnie wzięwszy ją na ręce posadził przy stole. Śniadanie bardzo im smakowało, jedli jednak w milczeniu i szybko, aby jak najprędzej wyjść na podwórze. To też w kilka minut garnuszki były próżne i chleb zjedzony.

— No, a teraz Anielko, zaczekaj jeszcze chwilę, okryję cię chustką, abyś się broń Boże nie przeziębila!

Owinął ją tak, że dziewczynce zaledwie oczy było widać, sam wsadziwszy na czuprynę barankową czapkę, zawołał:

— A teraz patrz Anielko, weź mnie mocno obiema rękami za szyję.

Lecz Anielka rąk nie podniosła i nie oplotła niemi szyi brata, spojrzała tylko na niego z taką bezgraniczną miłością, że i jemu serce w piersi zadrgało pod tem spojrzeniem. Nachylił się więc ku niej więcej i zapytał:

— Anielko, czemu nie chcesz objąć mnie za szyję, patrz tak będzie bardzo dobrze.

Lecz Anielka jeszcze się nie poruszyła.

— Ty, miałbyś mnie nosić Władku, nie, nie można! Ja już teraz taka duża jestem, taka ciężka, przez tę zimę bardzo urosłam. Mógłbyś się zbyt zmęczyć, nie można, nie, ja wolę zostać. Patrz, tu z pod okna zobaczę także kawalek nieba.

Lecz Władek nie dał jej dalej mówić, pocałunkiem zamknął usta.

— Niemądłą jesteś Anielko, ty, dla mnie za ciężką miałabyś być, śmiech mnie doprawdy bierze. Ty dla mnie nigdy za ciężka nie będziesz, nigdy, rozumiesz! jestem silny, czerstwy i dwa razy taki duży jak ty.

I nie zważając na słaby jeszcze opór dziewczynki, podniósł ją w górę, przebiegł schody i wybiegł na podwórze. Tu stał już pod ścianą, gdzie najwięcej słońca było, przygotowany stołeczek Anielki, posadził ją więc na nim, a sam usiadł na kamieniach. Anielka po kilkumiesięcznym siedzeniu w szarej suterenie, oddychała całą piersią świeżem wiosennem powietrzem, oglądała się na wszystkie strony, wszystko ją zaciekawiało, a Władek objaśniał:

— Patrz, Anielko tam, w tych oknach na pierwszym piętrze, mieszkają teraz jacyś bardzo bogaci państwo. Wczoraj na balkonie widziałem chłopczyka i panienkę, to pewnie rodzeństwo, tak jak my. Chłopczyk jest trochę niższy ode mnie, a panienska nosi długie rozpuszczone włosy.

— To warkocza jak ja nie splata?

— Nie, wczoraj widziałem ich w ogrodzie, chłopczyk czytał książkę, panienska biegała i skakała przez sznurek.

— Biegała, powtórzyła Anielka, ona ma zdrowe nóżki, może biegać, czy i ja, Władku, tak kiedy skakać będę?

— A jakże, Anielko, jeszcze prędzej i jeszcze lepiej od niej.

Dziewczynka zaśmiała się.

— A kiedy braciszku? Jak zarobicie dużo pieniędzy? I chciała jeszcze w dalszym ciągu wypytywać brata, czy to prędko nastąpi, czy za tydzień, czy za miesiąc, gdy nagle Władek trącił ją lekko w rękę.

— Parz, patrz, idą pewnie do ogrodu.

Z bramy wyjrzało dwoje dzieci.

Chłopiec o rozumnych oczach, dziewczynka, biała, rumiana z dumnie wydętymi ustami. Przechodząc mimo, spojrzęła na siedzące rodzeństwo.

— Czego wy tu siedzicie? spytała.

— Wygrzewamy się na słońcu odparł rezolutnie Władek.

— Po co?

Władek spojrzął na nią zdumiony. Jakże ona może pytać się o taką rzecz prostą, uprzejmie jednak odpowiedział.

— Bo, całą zimę, nie widzieliśmy słońca panienko, a ono tak przyjemnie grzeje i świeci.

Panienka roześmiała się głośno.

— Nie widzieliście słońca — powtórzyła—co ty mówisz mój chłopcze, albo przez zimę mieliście oczy zawiązane? Bo przecież nieraz słońce świeciło i to przez cały dzień.

— Niemily ton dziewczynki nie podobał się widać bratu, bo wzięwszy ją za rękę pociągnął naprzód. Gdy oddalili się o kilka kroków, odezwał się pierwszy do siostry:

(d. c. n.)

### KRYSTAŁOWA ZAGADKA.

Zaledwie o północy rozpocząłem życie.  
 Aliści już świat cały, wiedząc o mym bycie,  
 W szaty przeróżnych marzeń moją postać stroi  
 I na tle mej przyszłości własne plany roi.  
 Jednak ja dziś tak wątle i tak młode dziecię,  
 Schodząc w grób, całe z sobą powiodę stulecie.  
 Więc w dzień moich narodzin błyszczący i świeży,  
 Wyciągam do cię ręce o luba młodzieży!  
 I w chwili powitania przypominam tobie  
 To, co niegdyś anieli śpiewali przy żłobie,  
 W chwili narodzin Zbawcy w grzeszne ziemi progi,  
 „Chwała na wysokości niechaj będzie Bogu,  
 A na ziemi tej nisko, we wszelkiej doli:  
 Błogosławiony pokój ludziom dobrej woli!”  
 O! pokój zatem tobie, w twe dziecięce lata,  
 Ukochana młodzieży, ty nadziejo świata!  
 Naprzód! naprzód wraz ze mną i niech w tej podróży,  
 Miłość, rozum i praca za hasło ci służy.  
 A chociaż zwykła kolej rozłączy nas z sobą,  
 Ty dwudziestego wieku pozostań ozdoba!”  
 Pracuj więc, wszak Bóg losem władnie.  
 Kto jestem? skąd przychodzę? to z was każdy zgadnie,  
 Tajemniczy, zakryty za przyszłości chmurą,  
 Przychodzę, by panować przez dni trzysta z górą.

### ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

przez Stokrotkę z Sobolówki.

. w . . b l . k . r . n n . , z r . z . r . z p . . r z c h n . . n .  
 J . k c z . r n . p t . k . l . c . c w w . z s z . n . . b . s t r . n  
 C . r . z s . . z g r . m . d z . l . . L . d w . . s l . u c . z b . g l .  
 Z p . l . d n . . j . z . c h s t . d . p . l . n . . b . o . s o l l . g l .  
 . g r . m n . c h m . r . . W . . t r j . p . d z . l . c . r . z h . z . j  
 C h m . r . c . r . z g . s t n . . l . , z w . . s z . l . s l e g n i z . j ,  
 . z j . d n . s t r . n . n . w p . l . d n . . b . . s . d r t .  
 K . z . . m . w . c h . l . n . . w s z . r z r . z p . s t . r t . ,  
 J . k w . . l k . z . g . l , b . . r . c w s z . s t k . . w . . t r . w s . . b . e .  
 . d p . l . d n . . n . z . c h . d l . c . . l . p . n . . b . . .

### ZAGADKA.

Od Wichury dla P. z P.

W mym nieustannym biegu przez piękne krainy  
 Zwiedzam bogate grody, góry i doliny,  
 Ale też gramatyka zaraz ci opowie,  
 Że dwoma przypadkami rządzą w polskiej mowie.

### Skrzynka do listów.

Mamy nadzieję, że w następnym roku, w którym Roman i Janek G. będą w dalszym ciągu czytelnikami „Wieczorów”, znajdą chwilę swobodną do przesłania nam słów kilka.

Gołąbce z nad Wisły dziękują za życzenia świąteczne, przesyłamy w zamian przy noworoczynającym się roku szczere słowa: „Szczęść Boże” ufając, że choroby, które nawiedziły w ostatnim czasie jej mamę i braciszka, dziś już całkowicie minęły. Liściki twoje jak wszystkich naszych czytelników, zawsze są nam miłe, pisuj więc, o ile tylko będziesz do tego miała ochotę; polecamy ci też w dalszym ciągu wprawę w układaniu szarad i łamigłówek.

Własnego układu łamigłówek nadesłali: Sosenska, Tadzio W., Karol i Micio Wajdelota, Czarny rycerz, Maryla i Kruczek, dobre zaś rozwiązania: Michaś i Kazio Wid. Eugenia M., Smok, Orzeł karpacki, Srebrna gwiazdka, Ibis i Powojka.

Z przyjemnością wyczytałam w liście twoim Chróściku, iż podane w „Wieczorach” wzory do ozdób na choinkę, starałeś się naśladować z dostatecznym, jak na pierwszą próbę, powodzeniem, prośbę twoją powtórzyłam w Redakcyi za życzenia dziękuję łącząc również serdeczne słowa wszelkiej pomyślności.

Pytasz mnie kochana Stokrotko z Sobolówki, komu się dostała kcszulka i fartuszek, które na gwiazdkę dla biednych dzieci sama uszyłaś, otóż właśnie wypadkiem byłam obecną wielkiemu uszczęśliwieniu, jaki sprawił twój dar dwom sierotkom bardzo a bardzo biednym i opuszczonym. Mieszkając na wsi, ani masz pojęcia, jak niezmiernie często w mieście spotkać można nędzę wśród klas wyrobniczych, mianowicie jeżeli drobnym dzieciom zabraknie matki. Rozwiązanie łamigłówek dobre.

Witam cię Mała Zmudzinko w liczbie moich stałych korespondentek i proszę pisuj do mnie odtąd jak najczęściej obyśmy się choć listownie bliżej poznały. Zaginiony numer wysłany.

Wyobrażam sobie kochana Kurko z Polesia jak mile upłynę ci święta w towarzystwie twoich braciszków, za którymi stęskniłaś się tak bardzo, życzę ci też zarówno jak i twej rodzinie szczęśliwego Nowego Roku i błogosławieństwa Bożego. Przyjazna wszystkim czytelnikom Wieczorów

Jaskółka.